



w Warszawie kwartalnie rs. 1 k. 50, na prowincji, w Cesarstwie i za granicą półrocznie w Kopertach rs. 4 kop. 75. Numer pojedynczy kop. 15.  
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych i w Redakcji w Warszawie przy Ulicy Żabięj Nr. 956 u Jana Kantego Gregorowicza.

Treść Numeru: Od redakcji. — Pamiętniki wygnança (dalszy ciąg). — Osobistość w utworach muzycznych. — Wiadomości z domu i z Obezyzny. — W pałacu i w chatce powieść Berthold'a Auerbach'a, przełożona z niemieckiego przez J. Belejowską (dalszy ciąg). — Co ja lubię? (Wiersz). — O ubiorach. — Gołębie.

## OD REDAKCJI.

Ponieważ według nowych rozporządzeń, prenumerata na Tygodnik Mód przyjmowana jest na Stacjach pocztowych tylko do pierwszego dnia rozpoczynającego każde nowe półrocze, a po terminie tym odbieranie przedpłaty jest odmawiane, upraszamy przeto prenumeratorów, aby w celu uniknienia zawodu, należytość koniecznie przed 30 Czerwca składali na właściwych Stacjach pocztowych, bo tylko tym sposobem odbieranie następnych numerów bez przerwy następować może. Wrazie spóźnienia się z zapisem na Stacji pocztowej Tygodnik wprowadzie prenumerować można, ale należytość winna być przesłana wprost do Redakcji pod jej adresem, co naturalnie pociąga za sobą koszt przesyłki. — Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, w powiększonym formacie z dodatkiem rycin kolorowanych paryżkich, arkuszy z licznymi drzeworytami dotyczącymi ubrania, i tablic z krojami i deseniami do haftu.

W części literackiej dobór wyborowych powieści tak oryginalnych jak spolszczonych mamy przygotowany, jak również i artykułów zajmujących treścią.

Prenumerata na Stacjach pocztowych jak i w Redakcji wynosi półrocznie w kopertach rs. 4 kop. 75.

Przesyłka numerów z największą dokładnością co tydzień jest uskutecznią, wszelkie więc niedokładności w odbiorze z winy Redakcji pochodzić nie mogą. W przypadku jednak niedojścia którego z numerów, prosimy o niezwłoczne zgłoszenie się do Ekspedycji pism perjodycznych w Warszawie lub do Redakcji przy Ulicy Żabięj Nr. 956.

Nowi prenumeratorowie zapisujący się na Tygodnik Mód od 1 Lipca b. r. raczą zgłosić

się do Redakcji, a przesłane im zostaną oddbitki z początkiem drukującej się powieści: „W pałacu i w chatce.“

GŁÓWNY REDAKTOR

Jan Kanty Gregorowicz.

## KARTKI Z PAMIĘTNIKÓW WYGNANCA

Z FRANCUSKIEGO.

(Dalszy ciąg)

V.

Nieadługo po moim przybyciu do Lynmore, przypadła uroczystość 1. maja; jest to zwyczaj bardzo stary, sięgający jeszcze Rzymian. Za czasów Elżbiety, której panowanie Anglicy uważają za wiek złoty, za jedno długie pasmo uciech i zabaw, majowe te uroczystości bywały nadzwyczaj popularne, a w Richmond, gdzie cały dwór oddawał się rozrywce, odbywały się bardzo świetnie, pod przewodnictwem królowej.

Dziś, jakże rzeczy się zmieniły! Zamiast pięknych pań honorowych tańczących na świeżej murawie, na wzór owych nimf Horacego co małeńkimi nóżkami uderzały w urodzajną i płodną ziemię, zamiast owych wesołych maskarad, których odgłos zdaleka słyszeć się dawał, i owych ogromnych stołów zastawionych wołowemi i baraniami pieczeniami, zobaczysz tylko gromadkę chłopców i dziewcząt biegających po wsi w wieńcach ordynaryjnych, sztucznych kwiatów na głowie, i w nędznem, różnokolorowemi gałganami upstrzonym odzieniu. Owe sławne niegdyś majowe drzewo *May-Pole* w koło którego odbywały się igrzyska i tańce, zastąpiła wielka klatka z łożyny, całkiem pokryta zielenią, w której ukrywa się poruszający ją chłopiec. Dzieci chodzą z tą klatką od domu do domu, prosząc o kilka groszy, często jednak odchodzą z niczem lub co gorsza surowo połajane lub zgromione. Wiele osób żałuje bardzo tych starodawnych uroczystości narodowych, które gromadziły w wspólnej radości wszystkie klasy społeczeństwa, niektórzy pastorowie usiłują je wskrzesić, ale pojedyncze ich usiłowania nie odniosły dotąd pożądanego skutku.

W poniedziałek Zielonych Świątek, obchodzoną bywa uroczystość klubów stowarzyszenia wzajemnej pomocy; to dało mi sposobność uczestniczenia w jednym z tych obiadów, przedstawiającym czysto angielską cechę. Sami tylko rzeczywiści i honorowi członkowie mają prawo znajdować się na takim obiedzie, ale dzięki p. Mason zostałem zaproszony, a wywdzięczając ten zaszczyt, zapisałem się na liście członków honorowych. Członkowie wszystkich okolicznych klubów mieli się zebrać o godzinie dziesiątej. Poranek był prześliczny, kwitnąca tarń śnieżystej białości płaszczem pokryła płoty; wielkie drzewa parku hrabiny rzucały cień na świeżą murawę na której pasły się jagniątko i owce, wiejskie dzieci igrały na łące, wszystko zwiastowało wesołą zabawę.

Jeszcze przed dziesiątą, różnemi do Kommonu wiodącemi ścieżkami, przybywali processjonalnie członkowie zamieszkali w okolicznych wioskach, z różnobarwnemi chorągwiemi na których wypisane były rozmaite godła, jak n. p. *pokój, jedność, pomyślność, królowa*, lub znowu *wiara, nadzieja i miłość*, albo *przyjaźń, miłość, prawda*.

Największy, przez dwóch ludzi niesiony sztandar, budzący głośny szmer podziwu, był Lynmorski, z błękitnego atlasu, a na nim wyhaftowane srebrem te słowa ewangeliczne: *Pomagajcie sobie wzajemnie w dźwiganu ciężarów waszych*, nadto ozdobiony szarfami i kokardami z różnokolorowych wstążek.

Wszyscy członkowie mieli przypięte bukiety i kokardy, kolor wstążek odznaczał kluby; na czele każdego klubu postępowała muzyka, złożona z fletu, bębna i trąby, a każdy z grających grał sobie najswobodniej bynajmniej nie troszcząc się o innych. Ze wszech stron cisnęły się wieśniaczki i dzieci, aby nacieszyć się widokiem braci, narzeczonych, ojców, synów i mężów, przyjmujących udział w tak wspólniej uroczystości.

Wszyscy razem, nie wyjmując nawet metodystów, udali się processjonalnie do kościoła, którego wnętrze przystroili swemi chorągwiemi; po wspólnej modlitwie pastor Leslie wstąpił na kazalnicę i przemówił do zgromadzonych o miłości bliźniego, która powinna ożywiać stowarzyszonych, i przedstawiał jak wielkie usługi oddają społeczeństwu kluby wzajemnej pomocy. „Dzięki stowarzyszeniom których jesteście członkami, mówił wzruszonym głosem, możecie pomagać braciom waszym w dniach próby i nieszczęścia, strzedz nieszczęśliwych kobiet które nędza lub choroba mężów czy ojców mogłaby popchnąć na drogę bezbożności i sromoty, przykładem waszym zachęcać młodzież do oszczędności i porządku, uczyć że kto pragnie błogostawieństwa Bożego, kto chce



mieć prawo dumnie podnieść głowę i czuć się dumnym z swej niezależności, powinien od lat młodocianych umieć poskramiać swe żądze choćby najniewinniejsze i odmawiać sobie premijających przyjemności dla większych, wznioślejszych celów.

Ponieważ w Lynmore było dwa kluby *Benefit club* i *Oddfellows club*, zatem urządzono dwa obiady, jeden w wielkiej sali oberży Johna, drugi w podrzędniejszej oberży. Pastor Leslie, pułkownik Brown, p. Woodland, kilka jeszcze okolicznych właścicieli ziemskich oraz p. Mason i ja, obiadowaliśmy u Johna. Obiad nie wystawny ale pożywny, składał się z olbrzymich pieczeni i sztuki mięsa, kartofli, plum-pudingów, ciast, sera i piwa. Po skończonym obiedzie, przewodniczący w *Benefit club* odczytał roczne sprawozdanie wykazujące stan kassy, oraz liczbę członków istniejących i zmarłych, poczem spełniono toasty na cześć królowej, księcia następcy i całej rodziny królewskiej, a następnie na cześć armji i marynarki i obecnych panów. Toastom tym towarzyszyły głośne okrzyki i oklaski.

Obiad klubu *Oddfellows* odbył się tym samym porządkiem.

Wieczorem dnia tego poszedłem z pastorem Leslie na herbatę do pp. Mason, gdzie układano porządek uroczystości dla dzieci na zakończenie szkolnego roku. Po długich rozprawach urządzono aby zgodnie z życzeniem hrabiny, uroczystość odbyła się w jej parku, że ona da herbatę, mleko, chleb i masło, pani Mason ciasta, pani Woodland konfitury i laski. Na prośbę pani Mason, która chciała aby syn jej Jerzy mający przybyć na wakacje 20 czerwca, mógł być obecnym na uroczystości, odłożono ją do 22 czerwca.

Dawniej wszystkie szkółki wiejskie potrzebne na nie budowlę, powstawały i utrzymywały się wyłącznie kosztem parafjan; interwencja rządu rozpoczęła się dopiero w 1832, kiedy parlament zagłosował summe 20,000 ff. szter: dla poparcia i rozkrzewienia głównych szkolek elementarnych. W r. 1839 parlament wyznaczył radę wychowania i udzielił jej 30,000 ff. szter: jako zapomogę na budowę domów szkolnych u biednych parafjan; dziś subwencya ta wielorakie mająca przeznaczenie dochodzi do 800,000 ff. szter: Chcąc od rady wychowania uzyskać zapomogę, mieszkańcy parafji muszą pierwój złożyć summe równą tej, jaką pragną otrzymać. Rząd zastrzega sobie prawo nadzoru nad szkołami którym dopomaga, w przeciwnym razie podlegają tylko miejscowemu nadzorowi.

Nadszedł nareszcie dzień oznaczony: gęsta mgła ranna przestraszyła mnie nieco, ale wkrótce opadła i nigdy pogodniejsze niebo i jaśniejsze słońce czystszych nie oświeślało uciech.

Rozdanie nagród odbyło się w sali szkolnej, w obecności kilku panien szczególnie opiekujących się szkołą, poczem Leslie przemówił do dzieci i udano się do parku hrabiny.

Sędziwa matrona, otoczona gronem dam, siedziała w swoim fotelu na kółkach, i uprzejmie witała przybywających. Nieco opodał, na murawie wśród kwiatów i krzewów zebrało się blisko 150 dzieci, a po za niemi wieśniacy wśród których dostrzegłem p. Jones. Miss Mary weszła pomiędzy dzieci, zaś miss Róża, wielka faworyta hrabiny, musiała pozostać przy niej, aby wypieścić i przekazywać jej polecenia.

Cała ta uroczystość zajmujący tworzyła obraz. Tu i owdzie wiekowe drzewa rozciągały dumnie wielkie swe korony, zielone błonia mile nęciły oko, a nieco opodał płynęła rzeka, w której zwierciadlanych przezroczach odbijały się różnobarwnie błyszczące promienie słońca. Dziwna harmonja panująca między tą jakby rozradowaną przyrodą i rozkosznymi dziećmi, żywe w mem sercu zbudziła rozręczenie, opuściłem głowę zatapiając się w głębokiej zadumie i kiedy oczy moje spoczywały na kosiarzach, tuż po za rzeką koszących woniejącą trawę, myśl odleciała daleko, daleko... bo nie tak nie przypomniałem głębokiej boleści jak widok spokojnych i szczęśliwych tłumów. Dziwny to fenomen ten rodzaj podwójnego istnienia! Widziałem wszystko co się wokoło mnie działo, robiło mi to prawdziwą przyjemność, a jednak dusza w inne odbiegła strony, i w myśli stawały obrazy niedawno minionej przeszłości, przyodziane w rzeczywiste barwy.

Nagle przebudziłem się z zadumy, — mała Alicja przebiegając z ogromnym bukiem w ręku, krzyknęła głośno: „Słuchaj pan, będą śpiewać.

I w tejże chwili liczne dziecięce głosy zaintonowały pieśń starodawną, której prosta poważna muzyka żywe budziła wzruszenie, jakby jakimś nie-

biańskim ogarniając nas tchnieniem. Czy twarz moja zdradzała wewnętrzne miotające mną wzruszenie? czy była to radość z tak świetnego powodzenia swych protegowanych? nie wiem — dość że miss Mary zbliżyła się do mnie z ożywioną twarzą, podała obie ręce i po chwili milczenia zapytała.

— Wszak dobrze śpiewali.

O jakże serdecznie błogosławiłem jej w duszy, że mnie biednego wygnańca włączyła do swoich niewinnych uciech. Na zakończenie zaśpiewano narodową pieśń *God save the queen*, poczem każde dziecko z kolei dōstawalo od hrabiny szyling, i skacząc wesoło zasiadało na murawie, gdzie podawano im herbatę. Miss Róża, miss Mary, kilka jeszcze panien, a nawet ja i mała Alicja, krzątałyśmy się skrzętnie aby posługiwać zgromadzonym dzieciom; po skończonej wieczery rozpoczęły się rozmaite zabawy i gry w których i starsi przyjmowali udział, a późnym wieczorem hrabina zaprosiła nas na wieczernę przygotowaną w pałacu, poczem już koło północy rozeszliśmy się do domów. (d. c. n.)

## OSOBISTOŚĆ W UTWORACH MUZYCZNYCH.

(Wyciąg z dzieła p. t. „Gedanken über Tonkunst und Tonkünstler von Fr. R. v. Hentl. Wien 1868.)

Piękno i prawda przez pośrednictwo tylko jakiejś osobistości przybierają kształty, które w sztuce uważamy jako objaw boskości.

Nawet w nauce odwieczne prawdy nabierają przekonującej siły dopiero przez odbłask owych duchowych osobistości, które przyswoiwszy je sobie, nie zostawiają jako martwe same w sobie dobro, ale ożywiają je i na nowo z siebie wydają.

Są wielkie powszechne prawdy, wspólne wszystkim ucywilizowanym narodom, a nawet w zawiązku spotykane u dzikich ludów; to dało powód do mniemanja, że w świecie myśl nie nowego odkryć nie może. Jakże nowymi jednak okazują się te myśli w odzwierciadlającym je genialnym umyśle!

W sztuce, gdzie głównie idzie o twórcę ukształtowanie duchowej treści, osobistość występuje w całym swoim znaczeniu; ona nadaje utworowi styl, będący jakby wewnętrznym o nim świadectwem, przez nią duch ożywia się, zimna myśl abstrakcyjna staje się pełnym życia obrazem.

Jeśli owa osobistość jest rzeczywiście genialną, budzi w nas najprzód podziwienie, następnie zachwyt nad nowym światem starych cudów; ale geniusz rzadko się zjawiają, dla tego, gdy minie dla sztuki wiek złoty, z radością witamy ich godnych następców.

Nigdy nie poprzestajemy na posiadaniu starych arcydzieł; życie jest nie zrywającym się łańcuchem, a co ze skarbnicy natury wydobydzie się, wypracuje, wyrobi, to zaraz pragnie odzwierciadlić się i uświetnić w sztuce.

Tu dopiero znaczenie osobistości ukazuje się w pełnym świetle. Aby dzieło sztuki z czasu Epigonów nas zajęło, musi być odznaczającym się, aby nas zachwyciło, musi być natchnionem.

To też w sztuce wykonawczej osobistość wirtuoza stanowi ważną częśćkę jego szlachetniejszej działalności.

Jeśli odgrywane dzieło ma wewnętrzną wartość, to jego przedstawienie będzie tem droższe, im więcej potrafił wykonawca natchnąć słuchaczy duchem ożywiającym utwór muzyczny. Przy całym jednak zaparciu się samego siebie, jakiego artystyczne wykonanie podobnych dzieł koniecznie wymaga, osobistość przebijająca się co chwila w wykonywanym utworze łączy się z osobistością wykonywającego, i czaruje słuchacza; w żadnym razie choćby najświetniejsza, ale zimna technika zastąpić jej nie może.

Jeśli wirtuoz swojej lub obcej kompozycji wykonuje dzieła, które głównie mają na celu uwydatnienie wewnętrznego usposobienia twórcy, albo też popisanie się z uroczym wdziękiem artyzmu, wtedy jego osobistość występuje w całej swej potęgze, ponieważ wszystkie te pociągające, tęskne lub igrające i szumiące drobiazgi artyzmu, zawdzięczają najczęścięj swoje świetne powodzenie, jedynie szczeremu przejęciu się energicznemu natchnionemu osobistości.

Tylko też takie oddanie muzycznego utworu, stanowi to, co jego wyrazem, ekspresją, nazywamy; sa-

ma techniczna biegłość daje nam tylko piękną egzekucję.

Takowa zaś, choćby była najdokładniejsza i posiadała wszelkie subtelności pięknej szkoły, jeśli jej nie ożywi natchniona osobistość, nie wywrze estetycznego wrażenia, nie wzbudzi podziwienia dla artyzmu, dopiero gdy ekspresja połączy się z wykonaniem, wtedy zachwyt słuchacza jednoczy się z zachwytem mistrza.

Kto przypomni sobie wrażenia, jakiego doznał, słuchając gry na fortepianie Liszta, i na skrzypcach Teresy Milanollo, ten z łatwością pozna różnicę, jaka zachodzi między pierwszym, a nie mniej wielkim artystą, Talbergiem, i między drugą, a daleko większym od niej mistrzem Vieuxtemps'em.

Ale nie tylko od wydatnej osobistości zawisło wrażenie sztuki, zależy ono jeszcze od jej indywidualności, gdyż nawet między wykształconymi ludźmi mała jest liczba takich na którychby zdanie nie wpływała sympatia, którzyby nie dali się uwieść owej zgodności nastroju muzycznego utworu, z ich własnym usposobieniem.

Codziennie doświadczenie uczy, jak rzadkiem jest nieuprzedzone w rzeczach sztuki zdanie, jak na wrażliwość naszą potężnie wpływa już nie tylko powinowactwo duchowe między utworem muzycznym i usposobieniem naszym, ale i zgodności z panującymi wyobrażeniami. Nawet ci, którzy nie zupełnie sympatyzują z obecnym duchem czasu, nie są w stanie uwolnić się od jego wpływu.

Mało jest ludzi wszechstronnie ukształconych, zdolnych pojąć piękno w wysokiej jego samodzielności, a jeszcze mniej szukających w sztuce wzniesienia się nad samych siebie, ogół widzi w niej tylko odbicie swego usposobienia i czasowych swych potrzeb.

W epokach przejściowych, kiedy wszelkie poglądy niezgodne z duchem czasu wyłączają się, a świat nowy nie występuje jeszcze na jaśniejszą w utrwalonej, silnej formie, główne niebezpieczeństwo w tem leży, że umysły wpłatane do walki, biorą za najwyższy cel swych hordów dowolność a raczej samowolność wybujałej fantazji pomiatającej formą. W podobnych właśnie żyjemy czasach, i muzyka najjaskrawiej uwydatnia nam wzmiankowane zjawiska.

Aczkolwiek nieliczny jest jeszcze zastęp tych, co zupełnie zerwali z przeszłością i w zbyttem przeceńnieniu siebie mają za arcydzieła każdy utwór nowej szkoły, za to odznaczają się energją napaści, i władają słowem, jak ostrym narzędziem zniszczenia.

Daleko większa liczba tych, którzy bezmyślnie postępują za namiętami bojownikami nowości, którzy ludzą się co do własnych swoich potrzeb, dozwalając wmówić w siebie, że znajdują ich zaspokojenie tam, gdzie tylko rozdrażnienie i nudy znaleźć można.

Smutne następstwa podobnego stanu rzeczy, widzimy na krytyce utworów muzycznych. Dzisiejsza burzliwa generacya, wciąż naprzód ciska się, nie nakreśliwszy sobie żadnego wyraźnego kierunku, bez żadnego wyższego celu przed sobą, jedyne znajdując upodobanie w niszczeniu tego, co się ostało, rozrzuca się w nieograniczonej swobodzie, uderzając na każde prawo, które krępuje tę jej dowolność; generacya ta i w sztukach pięknych usiłuje wycisnąć piętno tego namiętnego ruchu, przekładając dziwaczną przesadę nad jasność i pogodę.

Jeżeli rzeczywiście genialnymi mistrzami są ci, któremi się zajmujemy, wtedy sympatyczny dla nich nasz wyrok ma pewną zasadę, byle tylko nie przechodził w stronnicze ze szkodą innych upodobanie; ale kiedy od muzyki żądamy więcej, niż ona dać może, kiedy świetne państwo tonów czynimy targowiskiem czasowych namiętności wtedy słusznie opłakiwać należy podobny stan rzeczy i potępić krytykę, która przemawiając w imieniu owych tendencji, fałszuje smak powszechny.

Jeszcze tu inna nasuwa się uwaga. Dziś im więcej w życiu oddalamy się od moralności, tym większy nacisk kładziemy na jej czystość w sztuce. Niejednokrotnie służyła ona za ocenę wartości utworu muzycznego, i począwszy od Beethovena, który oświadczył, iż nigdy nie byłby w stanie ułożyć muzyki do takich libretów, jak „Don Juan“ i „Figaro“ bardzo często występowało przeciw owym arcydziełom już to z powodu niemoralnego ich tekstu, już to z powodu zbyt zmysłowej ekspresji.

Nawet w czysto instrumentalnych utworach Mozarta, dopatrywali niektórzy krytycy jakiejś swawolnej zmysłowości, wynosząc pod niebiosy wstydlwość tonów Beethovena.



Ponieważ muzyka wyraża głównie uczucia, i przez nie budzi myśli, te zaś przez wrażenie jakie utwor muzyczny czyni na umyśle słuchacza, otrzymują pewien charakter i kierunek, to o każdej muzyce, która przez słowo nie wiąże się z pewną oznaczoną treścią, można tylko powiedzieć, że w taki lub inny sposób działa na usposobienie duszy, ale w żadnym razie, że wyobraża tę lub inną ośnowę duchową lub moralną.

Muzyka może u nas wzbudzić czysto zmysłowe lub uszlachetnione rozkosze, poziome lub wzniosłe wzruszenia duszy, może wzniesić łagodną tęsknotę lub rozpacz strasliwą, zachęcić do tańca lub do walki, zapalić ziemską lub boską miłość, ukołysać spokojem lub wstrząsnąć burzą; zawiera ona w sobie wszystkie usposobienia duszy będące odzwierciedleniem życia, ale żadne z nich nie noszą na sobie piętna niemoralności, bo one wszystkie są treścią duchowego życia, a ztąd i sztuki.

W utworach przeto muzycznych można ganić szorstkość lub pospolitość muzycznych idei, ale nie podobna dopatrywać się cech niemoralności.

Świeża, uroczą zmysłowość jest warunkiem piękności w sztuce; zapatrując się na nią z wyższego stanowiska można zrobić pytanie, czy większa lub mniejsza ilość pojęć zmysłowych odpowiada duchowej treści dzieła, ale jednocześnie zapominając nie należy, iż zbytńia przewaga pierwiastku duchowego uwydatnionego w celach etycznych odbiera sztuce całą jej żywotność a tem samem skuteczność.

Inaczej się dzieje z muzyką, do której dołączono słowa.

Tu następuje pytanie, czy wybór niemoralnego tekstu daje się usprawiedliwić.

Rozważmy tekst owych dwóch oper, które tak raziły moralność Beethovena.

Im większy jest urok, jaki usiłuje nadać Mozart w „Don-Juanie“ przewrotnym potęgą życia, tym straszniej oddziaływa on później, najprzód jako głos ostrzegający, a następnie jako czyn spełniający się kary.

Na muzykę Mozarta nie wpływają wcale stosunki i działania, które przygody miłosne don Juana przemieniają w zbrodnię: porywająca zaś potęga z jaką wyobraża usprawiedliwione w sobie rozkosze życia, nie odpowiada za ich nadużycie w niemoralnych stosunkach, za które ostatecznie wymierzona zostaje zasłużona kara.

Podobnie ma się rzecz z *Figarem*.

Od opery komicznej, tak samo jak od komedii wymagać nie można, aby służyła za przewodnika wyprowadzającego z błędów i przewrotności towarzyskich stosunków do rozumu i moralności, ale żeby nam przedstawiała w żywej i pociągającej akcji uszlachetnione i w pięknej oddanej formie popędy i wrażenia, jak one oddziaływają na siebie i zmieniają się przez ukrytą w nich istotę piękna.

Tak się też dzieje w „*Figarze*“. Gwałtowną namiętną miłość przenikają najserdeczniejsze uczucia, a czarujący wdzięk muzyki budzi tylko tęsknotę, jakby na ochronę tego, co prawdziwie piękne jest i ludzkie w miłości.

Wpływ muzyki wtedy jest niezaprzeczony, gdy jest piękną, bo wtedy uszlachetnia i podnosi duszę, grzeszyć więc tylko może pod względem estetycznym, ale nigdy moralnym; nie ma żadnych ściśle oznaczonych myśli, a mowa jej nie przechyla się ani na stronę złego, ani dobrego.

## Z DOMU I Z OBCYZNY.

Dom w mowie naszej przesłicznie skreślano. Powiadano że kościół dla tego domem nazywają, że jest w nim niby jedna czeladź co nią rządzi jeden gospodarz: że siedząc w domu na swym progu, człowiek najwdzięczniejszy Bogu: że wreszcie u dworu dwornie a w domu wybornie. Musiało ojcom naszym rzeczywiście być bardzo dobrze w domu, skoro domatorów aż wysmiewano różnemi przyczynkami, aby zmusić do wyjazdu w interesie ogólnego dobra. Nazywano ich z pogardą kokoszami wysiadującymi w kojcu pisklęta: chmielem pilnującym tyczki, wróblkami co za miedzą o niczem nie wiedzą, dodając, że nie godzi się w domu dmuchać i o wojnie słuchać, zapominając, że gdy żona za dom stoi, mężowi pole przystoi. Dom, mówili, nie zajac

to nie uciecze, a świat co chwila to inakszy, więc patrzeć weń należy. Domatorowie na te przyczynki odpowiadali sentencyami, ognisko domowe ważąc więcej nad złoto i drogie kamienie, do którego myśl tak przywiązana jak skorupa do żółwia. Rozumu, powiadali, nie wylata nogami, tylko nad książką oczami a kto w domu głupi, tego świat i za grosz nie kupi. Trudno mądrze dworować, ale trudniej w domu panować, bo choć rzecz ważna nauka, to i panem być w domu nie mała jest sztuka.

Tak mawiali w dawnych bardzo czasach; później dom zaczął tracić swój urok, wywołano wilka z lasu, i myśl, oczy i serca zwróciły się ku obczyźnie. Dalejże więc kłuc i szczypać modnych peregrynatorów powiadając, że i to daje pociechę, gdy pusty pęcherz nie wydziera się nad strzechę, jako wiedzący że i w Paryżu z jęczmienia nie zrobią ryżu, że kto go zwiedza cielęciem wraca wołem, że w domu kto puka, znajdzie czego szuka: że nie pan domem stoi, ale dom panem, i że wreszcie ten niedołą dla wnuków sieje, kto nie wie co się w domu dzieje. Ladażaka nauka świata nie oszuka, dodawano, mądre słowa pozna każda głowa, a choćbyś świecił złotem nie utaisz się z kieszeni kłopotem, bo wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi.

Ostatnie to przysłowie przeszło aż do naszych czasów jako lepiej wiemy zawsze co się dzieje o ścianę jak we własnym naszym domu. Więc wam niosę wieści z domu i obczyzny, skromne i nieciekawe, ale czem chata bogata tem rada.

Z pewną miłą osobą, prowadziłem w Saskim ogrodzie w przedmiocie tym ożywiającą rozmowę. Było to w dzień świąteczny, rój sukienek białych i ciemnych przewijał się tuż koło nas: patrzyłem z zajęciem, gniewając się czasami na parasolki, zbyt starannie w niektórych rączkach wypełniające swe obowiązki. Towarzyszka moja pani Celestyna, patrzyła także i po chwili milczenia rzekła.

Patrząc na tyle ślicznych młodzieńskich panienek i mężatek, wystrojonych, wychuchanych, wycaczonych jak motylki lub kwiatki świeżo rozkwitłe, czy wiecie Janku jakie sama sobie zadałam pytanie? Otóż zapytałam się czy w życiu nas Warszawianek ogród Saski służy głównie dla przechadzki czy dla popisu ze strojem? Jeżeli dla przechadzki, dla czegoż w dnie nie pewnej pogody pustki w nim najzupełniejsze; — jeżeli tylko dla stroju, dla czegoż wyrażnie nie przyznamy się do tego?

Uśmiechnąłem się i odrzekłem:

— Pytanie rzeczywiście bardzo niespodziewane, tym więcej że wychodzi z ust pani, której młodość i wdzięki...

— Dobrze, dobrze — przerwała mi towarzyszka ale to nie odpowiedź. Wreszcie, komplementa podobne nadzwyczaj barwią się staroświecczyzną, i słuchając ich mimowoli staje mi w myśli pan Cześnik lub Wojski, jak gładząc łysinę, wygłasza pannie podstolance afekta sercowe, polecając jej względem powolne swoje służby. Dajmy więc pokój scenom dawnego autoramentu, w rachunkowych dzisiejszych czasach, wyglądają one za sztywnie, za prostaczo.

Umilkłem.

— Gniewacie się? odezwiała się widząc że milczę uporczywie — ale nie moja w tem wina. Dla czegoż wiecznie macie nas za małoletnie dzieci, pragnące pochwał, uwielbienia, pochlebstwa i czołobitności? Popierasz Janku emancypację kobiet przez pracę, czyż odrzucenie czczych, pustych frazesów jakimi dotąd nas bawiono, nie do niej także należy?

— Zgoda — odrzekłem — ale wracając do głównego przedmiotu naszej rozmowy, chcąc rozwiązać zrobione pytanie, zmuszony jestem równie zapytać się, w jakim celu w każde święto w południowych godzinach znajdujesz się pani w Saskim ogrodzie?

Pani Celestyna zamysliła się chwilę a potem rzekła:

— Przychodzę, bo pewna jestem że zastanę tu wielu z moich znajomych, że z nimi pomówię troszkę, dowiem się o innych nieobecnych, wreszcie że zobaczę ludzi...

— I elegancko — domówiłem.

— W rzeczy samej, strój ma dla nas pewną pojętą. Lubimy nie tylko same ustroić się ale i patrzeć na przystrojenie innych. Młodość i wdzięk ma i dla nas powab estetyczny, piękno dla piękna uwielbiamy i przyklaskujemy mu wszędzie gdzie się pojawia.

— Otóż i pytanie rozwiązane jakie przeznaczenie jest Saskiego ogrodu — odezwał się, i chciałem

dalej w przedmiocie tym prowadzić rozmowę, ale obok nas usiadła jakaś pani z małą dziewczynką i całą naszą ściągnęła ku sobie uwagę.

— Moja ciociu — mówiła dziewczynka — niech ciocia kupi mi ciasteczko.

— Nie można, bo byś obiadu nie jadła.

— A dla czego, kiedy u nas codzień jest obiad?

— Bo byś się najadła, to by ci się potem jeść nie chciało.

— Ale będzie mi się chciało, będzie...

— Ale zdaje ci się.

— To niech ciocia spróbuje — odrzekła figlarnie dziewczynka — a jakbym obiadu nie jadła, to mi ciocia już nigdy ciasteczka nie kupi. Niech ciocia spróbuje, moja ciociu, co to cioci szkodzi?

Rozśmialiśmy się, a ja rzekłem do méj towarzyski:

— Teraz już wiem kto dyplomatów jest nauczycielem.

— Spostrzeżenie choć złośliwe, ale może ma pewną zasadę — odrzekła pani Celestyna — ale powiedzcie mi Janku co ciekawszego.

— Z obczyzny, donoszą nam odrzekłem — bardzo miłą wiadomość o wielkich postępach, znanego naszego pastelisty Tytusa Maleszewskiego. O portrecie Adeliny Patti, zrobionym przez niego, znakomity krytyk Edward Constant w Paryżu wspomina w pismach z największym uwielbieniem, nie mogąc się dosyć nachwalić, jak cudownie wygląda pastelowa *diva*; ze swoim błyszczącym okiem ocienionem długimi rzęsami i świeżością ciała, mogącą kolorystem walczyć z najpierwszymi mistrzami pendzla. Surowi tylko krytycy robią zarzut, że pomimo podobieństwa, kopja piękniejsza jest od oryginału.

— Jak tylko jest podobieństwo zupełne, grzechem tego nazwać nie można. Ale cóż dalej?

— Wynaleziono maszynkę do robienia lodu, kosztującą tylko 15 rs. na której każdy zrobić może w przeciągu czterech minut dwie kwarty lodu. Powiadają jednak że wynalazca interesu na tem wielkiego nie robi, bo serca ludzkie tak się coraz więcej oziębiają, że wkrótce w lód zamienione wybornym staną się fabrykantem lodu. Pierwszeństwo pod tym względem oddają jednak kobietom, przyjmującym często z mroźną obojętnością najgorętsze spojrzenia i wulkaniczne westchnienia...

— Marcowych kawalerów — wtrąciła szybko pani Celestyna — i... i...

— I komplementistów starego autoramentu — dodałem z ukłonem, a pani Celestyna uśmiechnęła się i podała mi obie rączki do uścisku.

— Więc zgoda, odezwiała się — a na utwierdzenie jej dam wam Janku wiadomość do gawędy o pani Modrzejewskiej artystce teatru w Poznaniu, która w roli Adrjanny Lecouvreur, tak silnie zrobiła wrażenie, że w scenie otrucia, jedna z dam w łóżu krzyknęła i zemdlęła.

— Jest to zapewne wielki tryumf dla artystki — odrzekłem — ale wiadomości podobne przyjmować potrzeba z wielką ostrożnością. Postęp ogarniający wszystko, wyrosł w olbrzyma i w sztuczny wywołaniu teatralnych wrażeń.

W Paryżu banda klakierów uorganizowana, stała się nader zyskownym przedsiębiorstwem. Oprócz niej, pojedyncze jednostki służą w tym samym celu, wedle roli z góry im oznaczonej. Przed rokiem czy dwoma, jakaś Paryżanka stawiała w sądzie jako świadek. Zapytana o sposób utrzymania odrzekła, *mdleje*.

— Ale ja pani pytam — zapytał powtórnie sędzia, z czego się pani utrzymujesz? Jaki twój stan i sposób do życia?

— *Mdleje* powiadam panu, czyż pan nie rozumiesz?

— Rozumiem bardzo dobrze, co to jest zemdlęć, ale odpowiedzi pani zupełnie pojąć nie umiem.

— Ach! jaki pan niedomyślny — odrzekła kobieta. Jestem artystką prowincjonalną; występującą przeważnie w rolach omdlenia. Porzuciwszy teatr, osiadłam w Paryżu, i rolę swoją już nie odgrywam na deskach sceny, ale w łóżach w czasie przedstawienia. Artysta lub artystka pragnący sławy, rozgłosu, i tem samem powiększenia dochodów, wchodzi ze mną w umowę, naznacza miejsca najdramatyczniejsze, przy pierwszym więc płacze, przy drugim łkam i zanoszę się, a przy trzecim palpituję i omdleam.

— Zabawne zdarzenie, odezwiała się pani Celestyna — ciekawam czy też w Warszawie coś się podobnego dzieje.

— O! zaręczam że nie — odrzekłem — my tak







ludźmi, trzeba jeszcze aby diabli zostawiali ich sprzymierzeńcami?... Podobne zapytanie zakończające dramat mający nas pogodzić z prawdami odwiecznymi, jest na swoim miejscu, ponieważ przeważający w nim duch sarkazmu, odbija się jasno w tych cierpkich słowach: „Chyba nie ma rozum, kto go nie straci patrząc na pewne rzeczy“. Niech wzniósłby duch genialnego Lessing'a przebaczyć że śmiem tak się wyrażać, ale w sztuce tej popełnił błąd wielki, przenosząc nadwór książęcy czyn spełniony w forum rzymskim przez rzeźnika Wirginusza, i zamieniając rękę uniesionego obywatela, już trzymającego nóż rzeźniczy, na rękę Galotti'ego, niezadowolonego pułkownika. Czyn Wirginusza sprowadza wielką katastrofę polityczną — rewolucję, będącą karą i zadość uczynieniem za popełnioną winę, kiedy przeciwnie w *Emilji Galotti* stanowi jedynie zakończenie a nie odpokutowanie za złe dokonane. I oto powód czemu sztuka ta kończy się zapytaniem, to jest dyssonans.

Słowa Gunther'a zupełnie uspokoiły umysły i przeniosły całą tę sprawę i spowodowane nią przykre wrażenie, w poważną i wysoką sferę krytyki; sam król podziwiał zreczność i takt swego doktora, który będąc, jak wnosili, motorem całej tej intrygi, rozprawiał teraz o niej tak spokojnie jakby o jakimś doświadczeniu anatomicznym.

— Dostrzegłam w tej sztuce pewną dziwną okoliczność, rzekła Irma — nie chcąc milczeniem zwrócić na siebie uwagi — jest tam cała historia dwóch małżeństw.

— Jakto? zapytało kilka głosów.

— Tak jest, odrzekła. Emilja jest owocem nieszczęśliwego małżeństwa; ów Odoardo, ten wzór nieugiętej cnoty, był bardzo złym mężem dla cichej i uległej Klaudji, tak że nareszcie musieli się rozłączyć. On zamieszkał w swych dobrach a ona w mieście, gdzie zajęła się wychowywaniem i edukacją córki. Emilja najwięcej zapewne pracowała nad muzyką. Papa Odoardo ze swym wiecznym moralizowaniem, to pozytywka powtarzająca nieustannie swą ulubioną piosenkę; mama Klaudja, jest to kobieta światowa, trzymająca się ściśle wszelkich form i formułek konwenyonalnych. Małżonkowie ci mają córkę Emilję, której małżeństwo z Appiani'm, byłoby wiernym odbiciem związku rodziców, i takież same wywołało następstwa.

— Słuszna uwaga, rzekł król.

Zachęcona uznaniem, Irma mówiła dalej. Babka Emilji zapewne powiedziała sobie. Ja nie zaznałam szczęścia, niechże przynajmniej Klaudja moja będzie szczęśliwą ze szlachetnym Odoardem, który wówczas był dopiero kapitanem. Ja nie jestem szczęśliwa, rzekła sobie znówu Klaudja, ale przynajmniej wierzę w szczęście mojej Emilji; — a Emilja byłaby znówu zaśpiewała tę samą piosenkę, słowem byłby to nieprzerwany łańcuch nieszczęść i rezygnacji. Któż jest ten hrabia Appiani? — radca legacji bez posady, który chce się żenić z Emilją, jedynie przez wielbienie dla przyszłego teścia, tak piękne prawdziwego morały. Appiani zasłużył na ów wystrzał, a nawet wart był drugiego, jak mówi Marinelli — choćby tylko za to, że nie spostrzegł nawet toalety swej narzeczonej! Z nadejściem zimy Emilja umarłaby na wsi z nudów, lub musiałaby się zupełnie przekształcić, założyć w swych dobrach szkołę i zostać jej nauczycielką. Gdyby Emilja umiała śpiewać, śpiewałaby też same melodie co Zerlina Mozart'a; sam Mazetto — Appiani to odgaduje, prze-czuwa, wie że to związek niedobry, i dla tego słusznie bardzo, iż choć sam nie wie czemu, jest tak smutnym w chwilach zbliżającego się ślubu. Taki Appiani powinien się żenić z wdową mającą z jakieś siedmioro dzieci, a jakby się kiedy dobrze wyklócił z żoną, powiedziałby jak po owej rozprawie z Marinelli'm. „Ach! lepiej mi jakoś, krew żywiej krąży w żyłach; czuję się jakby innym, jakby odrodzonym. Emilja kocha księcia i dla tego go się obawia; narzeczony którego ma zaślubić, zostałby jej mężem, ale nie pokochałaby go nigdy. Co do mnie, mianowałabym Appiani'ego deputowanym do Izby, ale nigdy nie wybrałabym go za męża. Taki człowiek wcale nie powinien się żenić, lub w najgorszym razie zaślubić kobietę, coby mu przyrzadzała smaczne obiady, a nie taką Emilję, która wiedziała że jest piękną i starała się ubierać w czem jej było najładniej.

Gdy Irma to mówiła, policzki jej pałały; zdało jej się że pędzi przez lasy i pola na dzikim, rozrzuconym rumaku, i rzeczywiście pokonawszy trudność rozpoczęcia, rozbudzona wyobraźnia uniosła ją daleko

po za wszelkie zapory i przeszkody. Mówiąc, zapalała się stopniowo i uśmierzała niepokój, czuła z dumą że panowała nad światem, nad życiem, nad wszystkim co ją otacza, czuła że nic nie zdoła powstrzymać jej lotu.

Wszyscy chwalili oryginalność poglądów Irmy, i ów wieczór grozący burzą, przyniósł spokój i jakby miły chłód orzeźwiający atmosferę.

Królowa uszczęśliwiona oddychała swobodnie.

Zaraz po teatrze Baum udał się do Walpurgi.

— Nie pojmuję, rzekł jej, jak ośmielono się przedstawić odegraną dziś sztukę. Jest to historia pewnego księcia mającego się żenić z jakąś księżniczką, — otóż książę ten ma kochankę, bardzo piękną, ale mu się sprzykrzyła i już upatrzył sobie nową, — a trzeba wiedzieć że wszystko to dzieje się w sam dzień jego ślubu. Otóż książę ten ma szambelana który jest zarazem jego powiernikiem i przyjacielem, ale mimo to, biada mu! jeśli nie da księciu wszystkiego co tenże zapagnie; już to książę nazywa go kochanym przyjacielem, ściska, całuje, już znów znieważa go i traktuje jak najgorzej. Chcąc zadowolnić księcia, szambelan kazał porwać młodą dziewczę i zabić jej narzeczonego; ale dawniejsza kochanka nie zasypia sprawy, wyszukuje ojca Emilji Galotti, podburza go i ten w uniesieniu gniewu zabija własną córkę poddany sobie sztyletem.

— A cóż się stało z księciem i z jego szambelanem?

— A tego już nie wiem.

— Powiedz no mi jeszcze jak się nazywała narzeczona, zapytała Walpurga.

— Masz afisz, przeczytaj sobie.

Walpurga zaczęła czytać, papier drżał w jej ręku. Widzi te same imiona które wymieniali król i Irma, w owej tak dla niej niezrozumiałej rozmowie.

— I pozwolono przedstawiać takie historie?... Ach! doprawdy wszyscy są ..... dawno już wiedziałam...

W tem przypomniawszy sobie radę panny Kramer — i nie śmiała wypowiedzieć całej myśli.

Nazajutrz był koncert w pałacu. Irma miała zwyczaj rozmawiać bardzo uprzejmie z artystami i śpiewaczkami, występującymi na oddzielonej od reszty sali, nieco wyniesionej estradzie. Zlejęzki utrzymywały że chciała przed całym światem popisywać się z swą popularnością, a jednak Irma szła tylko za popędem wrodzonej uprzejmości i dobroci.

Po chwili doktor królewski zbliżył się do niej mówiąc:

— Rozwagałem głęboko wczorajsze pani spostrzeżenia.

— Nie mam zwyczaju myśleć dziś o tem co mówiłam wczoraj.

— Ale ja jako pedant mogę postępować inaczej. Miałas pani słuszną, Emilja nie byłaby szczęśliwa z Appianim.

— Cieszę się że pan podzielasz moje zdanie.

— Ale czy mniemasz pani że byłaby szczęśliwa z księciem?

— Niezawodnie.

— A jak długo?

— Tego nie wiem.

— Bardzo prędko byłaby rozczarowaną, bo ten książę to rozpustnik powodowany ciekawością, i tak w sztuce jak w życiu można go określić jednym słowem, jest to dyletant. Dopóki młody, sam wdzięk młodości i żywiość ruchów, nadają mu jakąś niby zajmującą postać, ale gdy dyletant się starzeje, wtedy zaczyna naśladować sam siebie, powtarza zużyte cudze frazesy, stara się pociągać powierzchwnie duszy werniksem entuzjazmu i młodości, a w głębi jej wszystko jest zwiedle, przekwitłe, skażone. Nie bez myśli Lessing przedstawił Hektora młodym i pięknym — a gdy Irma nie nie odpowiadała, zapytał: Czy nie zgadzasz się pani na moje zdanie?

— Ach! stokrotnie przepraszam, odrzekła, ale dziś tak jestem upojona muzyką, że nie umiem myśleć o tem co było wczoraj.

I powiedziawszy te słowa, ukłoniła się i odeszła.

## XI.

Z powodu słabości królowej nie było u dworu żadnych zabaw, karnawał mijał cicho i smutno. Silne zeszłotygodniowe wrażenia tak mocno wstrząsnęły delikatną organizację królowej, iż zachorowała bardzo niebezpiecznie.

Irma rzadko teraz przychodziła do Walpurgi, całe godziny spędzała u królowej, a jeśli pokazała

się na chwilę stęsknionej wieśniaczce, zawsze była blada, smutna i zamyślona.

Baum korzystał z każdej sposobności widzenia Walpurgi; nie narzucał jej się jednak, ale okazywał wiele przychylności i wdzięczności. Chciał koniecznie pozyskać jej przyjaźń i szacunek — widział że trzeba się wyrzec innych zamiarów, i samemu radzić sobie.

Appartement hrabianki Wildenort był na pierwszym piętrze, po nad pokojami Walpurgi i następcy tronu, i w tejże chwili odgrywała się tam scena w zupełnie odmiennym rodzaju. Brunon siedział przy siostrze na kozetce, i mówił jej:

— To prawdziwe nieszczęście, ale muszę ci powiedzieć że twoja w tem winna. Mama Sylfida spadła mi na kark, a straszliwie mi zawadza.

— Kto?

— A moja szanowna świekra, — powiedziała mi wyrażnie z swoim cynicznym uśmiechem, że nie ma powodu aby nie bywała na moich balach i przyjęciach, skoro moja siostra....

— Więc i ty temu wierzysz? zawołała Irma zstaniając twarz rękami.

— Co cię obchodzi co ja myślę, dość że wszyscy tak mówią i wierzą.

— To jeszcze nie dosyć, nauczę ludzi mówić inaczej.

— Doskonale! zapewne będziesz chodzić od domu do domu i uczyć wszystkich co mają myśleć i mówić. Jeden byłby na to sposób, czy mogę ci go wskazać?

Irma potwierdzająco skinęła głową.

— Wiem że przeszłego lata baron Schöning ci się oświadczył, on miałby sobie za zaszczyt nazwać cię żoną, pomyśl nad tem.

W tejże chwili wszedł lokaj i zaanonsował Intendenta.

— Dziwny traf, rzekł Brunon, staraj się korzystać z niego.

Schöning wszedł, Brunon był dla niego nadzwyczaj uprzedzającym, Irma bardzo uprzejmą; po chwili Brunon pożegnał siostrę i wyszedł.

Baron Schöning oddał Irmie rękopism nowej sztuki, prosząc aby go raczyła przerzucić i ocenić; podziękowała uprzejmie i położyła rękopism na stoliku.

— Ach! jak tylko wiosna zawita, nie będę chciała nawet wspomnieć o teatrze, to zabawa zimowa.

— Sztuka ta jest przeznaczona na przyszły sezon zimowy.

— Nie uwierzysz pan jak lubię lato. Gdy wszystko zmarźnie i zwiędnie, trudno nawet uwierzyć że był czas kiedy słońce w całym jaśniało blasku, drzewa przystrojone były w zieloną szatę, fale jeziora błyszczały jak zwierciadło. Czy pamiętasz pan jaki to cudnie piękny był wieczór, kiedyśmy zeszłego lata spotkali się na jeziorze?

— Ach! tak, przypominam sobie.

Nastało długie milczenie. Irma spodziewała się że Intendent sam teraz w tym przedmiocie mówić będzie, — omyliła się — milczał, i słychać było tylko poruszanie się papugi, jak uderzała dziobem w złoczone pręciki klatki.

— Zawsza się cieszę wycieczką jaką zamierzam zrobić na przyszłe lato, odwiedzę przyjaciółkę moją, Emilję; zima ta była jakby jednym długim ciągiem zabaw i uroczystości, że doprawdy tęsknię za samotnością i wytchnieniem.

Papuga ciągle dziobała złoczone pręciki, Irma gniotła ponsową szarfę opasującą jej kibić.

— Czy odwiedzi pan jezioro tego lata? zapytała z uśmiechem, a w duszy pomyślała: Czy ten głupiec nie rozumie do czego zmierzam, lub czy tylko nie chce mnie zrozumieć?...

— O nie, kochana hrabianko, muszę zwiedzić teatru niemieckiego i zaangażować pierwszą kochankę i pierwszy bas. Nie wystawisz sobie pani, jak trudno w Niemczech o pierwsze kochanki.

— Widać terazniejsze obowiązki... kazały panu zapomnieć o zamiarze ożenienia się.... powiedziała Irma. Posunęła się bardzo, bardzo daleko, ale cóż miała robić.

— Rzeczywiście dziś zupełnie nie myślę o tem.

Irma rozśmiała się wymuszonym śmiechem, ale wszystka krew uderzyła jej do głowy, serce strasznie się ścisnęło. Tak więc ten marny trefniś tak pogardliwie odrzucił jej rękę!..

Wszedł lokaj, meldując baronową Steigeneck.

Nie ma mnie w domu, rzekła prędko Irma; zatrzymaj się pan jeszcze chwilę, dodała, zwracając się do Intendenta.



Intendent zabawiał jeszcze czas jakiś; mówił znowu o rękopiśmie leżącym na stoliku, zwracając uwagę Irma że miejsca zakreślone mają być wyrzucone. Irma obiecała przeczytać rękopis, podziękowała baronowi że tak wysoko ceni jej zdanie, i rozmawiała o rzeczach zupełnie obojętnych. Schöning pożegnał się i odszedł, wtedy Irma rzuciła się na kanapę, i płakała długo i gorzko, boleść wstrząsała całym jej ciałem. Nareszcie wstała, wstrząsnęła dumnie głową i odrzucając w tył piękne swe włosy: zawołała.

— Pogardzam wami! a wy nizezemnicy wszyscy mi zazdrościcie.

Zadzwoiła aby powóz zajechał, chciała udać się do pracowni snycerza i tam w pracy szukać wytchnienia. Znowu wszedł lokaj meldując pułkownika Brounen.

— Prosić, rzekła Irma.

Wszedł pułkownik; przeprosiła uprzejmie że go przyjmuje w ubraniu spacerowym, bo właśnie miała wyjechać.

— W takim razie przyjdę innym razem, a dziś tylko oznajmię ci hrabianko najuprzejmniejsze pozdrowienie od...

— Od kogo? zapytała.

— Od hrabiego Wildenort.

— Od mego ojca! gdzie go pan widziałeś?

— Byłem w Wildenort; — miałem interes w okolicach rodzinnej wioski pani, i korzystając z tego, pozwoliłem sobie przedstawić się jej ojcu, i poważnie się oznajmić mu że raczysz leczyć mnie do końca swych najlepszych przyjaciół.

— Jakże się ma mój ojciec?

— Doskonale. Ale pani masz wyjechać, a ja nie uspokoiłem się jeszcze z wrażenia jakie wywarł na mnie wzniosły charakter jej ojca; jak oboje będziemy spokojniejsi, wtedy...

— Jestem zupełnie spokojna; — czy masz pan do mnie jakie zlecenie?

— Nie pani, tylko chciałbym z nią pomówić. Ach! hrabianko, jakże czcigodnego masz ojca. Cóż to za człowiek!...

— Irma spojrzała na niego z zadziwieniem; zdało jej się że to Appiani mówi o Odoardzie.

— Kochana hrabianko, rzekł spokojnie pułkownik, nie jestem zapaleńcem, jednak to poznanie twego ojca zaliczać będę zawsze do najważniejszych w życiu mojem wydarzeń. Zazwyczaj najmiłsze nam bywa towarzystwo tych z którymi łączy nas wzajemna sympatja, otóż ośmielię się wyznać że miałem szczególne pozyskać szacunek ojca pani.

— Nie dziwię się bo pan stokrotnie na niego zasługujesz. Wiesz pan co, zdejmę kapelusz, siadajmy i pomówimy o moim ojcu.

Zdejęła kapelusz, piękna jej twarz bardzo była ożywiona. Zadzwoiła żeby powóz odjechał; pułkownik usiadł.

— Pani mnie zrozumiesz, gdy powiem że spędziłem kilka nieporównanych godzin, a jednak nie mam nic nadzwyczajnego do powiedzenia. Jeśli wracając z szczęśliwej z lasu wycieczki, zerwiemy zieloną gałązkę, nie może ona opisać szmeru liści ani zawiewającego z gór wietrzyka, ale zawsze jest oznaką zwiastującą i nam samym i tym których spotykamy, co jest powodem naszej radości.

— Pojmuję pana najzupełniej. Nastąpiła chwila milczenia, poczem Irma zapytała:

— Czy ojciec nie mówił panu co o bracie moim?

— Nie, — nie wspomniął nawet jego imienia. O droga hrabianko! jednym z największych dobrodziejstw jakie Opatrzność udzieliła człowiekowi, jest to że może przybrać nazwę syna z mocy dobrowolnej miłości...

I ten mąż tak poważny i silny, tak mocno był wzruszony że zaledwie mógł oddychać.

Irma zadrżała, serce jej biło gwałtownie, myślała co ma odpowiedzieć. Otóż człowiek zacny, szlachetny, tak powszechnie poważany, ofiaruje jej swe serce i rękę... Tak rękę i serce, a ona nie śmie przyjąć, bo już za serce sercem odpłacić nie może.

— Ciesz się mnie to niewymownie, odpowiedziała nareszcie, iż ojciec mój miał sposobność przekonać się w swem odosobnieniu, że ów świat dworski który tak sobie źle wyobraża, posiada ludzi tak pełnych zasługi, których możnaby wszystkim stawiać za przykład.

— Toż samo i temi prawie słowami, powiedział mi ojciec pani, rzekł zmieszany nieco pułkownik.

— Widać przeczułam myśl jego; jakżebym chciała widzieć was razem. Przekonana jestem, że poznawszy pana ojciec mój musiał odzyskać nieco wiary w ludzkość.

— Jeśli raz dałem moją przyjaźń i szacunek, to uczuć moich nigdy już nie zmienię, i dla tego postanowiłem pisywać do hrabiego. Otóż obecnie, kochana hrabianko, chciałbym napisać do niego, chciałbym aby słowa listu mego wyrażały najwięcej szczęście jakie tylko może być udziałem śmiertelnych.... Hrabianko Irmo, chciałbym donieść mu...

— Dobry mój przyjacielu, odpowiedziała Irma, odziedziczyłam trochę dzikiej natury mego ojca, tak jak on lubię samotność i niezależność. Muszę więc odmówić ci, ale zarazem i dziękuję najserdeczniej.... Nie wiesz jak w tej właśnie chwili, przyście i słowa twoje wiele zrobiły mi dobrego, jak błogie w sercu zbudziły uczucie.... Dziękuję ci więc z całej duszy, podaj mi rękę i tak jak byliśmy dotąd, na zawsze pozostaniemy przyjaciółmi.... Dziękuję raz jeszcze dziękuję....

Łzy przerwały jej mowę.

Po odejściu pułkownika, Irma padła na kolana; niewysławione uczucia miotaly jej duszą.... Przed chwilą marny trefnisz dworski odrzucił jej rękę.... a teraz człowiek tak zacny, tak szlachetny, tak niezaprzeczenie wyższy nad innych że nie ma kobiety któraby wyboru jego nie uznawała sobie za zaszczyt, i taki to człowiek ofiarował jej swoje nazwisko, kochał ją, a ona odmówiła.... bo już innemu oddała serce, bo już należało do innego któremu całe poświęciła życie....

I tak jej jakoś błogo było w sercu jak gdyby wydobyla się z otchłani wstydu i rozpacz. Wstała, myśl że postąpiła ucziwie orzeźwiła jej umysł; jednak po chwili kropla gorzkości wpadła do tego uspakajającego kielicha. — Czyż więc tak nisko już upadłaś, iż upatrujesz sobie jakąś zasługę w tém, że postąpiłaś jak nakazuje sumienie?... I jakimuż to człowiekowi musiałaś odmówić?... a on cię kocha, ma dla ciebie szacunek i tak wysoko ceni twoją miłość!...

W tem weszła panna służąca, czas było ubierać się do obiadu.

## XII.

Po ciężkiej chorobie, królowa wyszła z niebezpieczeństwa i zaczynała wracać do zdrowia. Wtedy Walpurga napisała do męża:

„Jeśli coś niespodziewanego nie wypadnie, to już tylko siedm niedziel mam tu pozostać, a potem wracam do was. Prawie mi się w głowie nie może pomieścić abym miała ztąd się oddalić, a jednak jakież to gorące dzięki złożę Bogu, gdy już będę z wami. Doprawdy lękam się abym nie ogłupiała tu od natłoku myśli, o nieszczęście wszędzie łatwo; są i tu ludzie którym źle sprawia rozkosz, a nawet jeśli go nie ma to go sobie wystawiają i cieszą się z tego.

„Była mowa o tem abyśmy tu dostali dobre miejsce, które moglibyśmy zajmować do końca życia, ale królowa powiedziała, że lepiej dla mnie abym powróciła w nasze góry, a ona zawsze ma słusność, bo jest prawdziwie taką jaką winna być królowa, i widać na to ją już Pan Bóg stworzył.

„Nie raz bardzo nałamałem sobie głowy, bo chciałabym koniecznie wiedzieć, dla czego Bóg tak często doświadcza i dręczy naszą dobrą królowę. Doprawdy nie tego zrozumieć nie mogę. Ach! byliśmy tu bardzo, bardzo niespokojni, co chwila powtarzano wszędzie: Nasza dobra, nasza kochana królowa! czy aby wyjdzie z tej choroby!... Szczęściem wszystko minęło. Przez cały ten czas prawie nie widziałam mojej kochanej hrabianki, pewna jestem że wyglądała jak cień.

„A teraz, Janie mój, bądź gotów do drogi, bo w przyszłym liście oznaczę ci już dzień kiedy masz po mnie przyjechać.

„Ach! serce mi się ściska na myśl że muszę opuścić mego małego księcia; ale trudna rada, tam w chatce nad jeziorem mam własne moje dziecko, mam męża, matkę, i wróciwszy tam znowu do nich tylko należeć będę, i nigdy już nie będę potrzebowała służyć i rozłączać się z nimi.

„Czy bywają tam u was takie straszne wichry jak u nas? wszakże wiatr leci tak szybko; — gdybym

to ja mogła polecieć z nim do was! Przeszłej nocy wichur wyrwał z korzeniem piękne, wielkie drzewo rosnące pod mojem oknem, zrzucił i potłukł statuetkę nad którą wszyscy bardzo się unosili; ja tam nie wiem co tak pięknego w niej upatrzyli, bo tak nieprzyzwoicie była odsłonięta, że wstydziłam się spojrzeć na nią. Z okna mego widać było i drzewo i statuetkę, a teraz właśnie zajmują się uprzątnieniem pozostałych z nich szczątków.

„Jak tu przyjedziesz, kochany Janie, to ubierz się w te piękne suknie które ci król posłał, i włóż jedną z tych cienkich koszul, które ci ofiarowałam w ślubnym podarku; są w szafie niebieskiej, na drugiej pulce od góry, związane czerwoną wstążeczką. Och! gdybyś tu był teraz, drogi mój Janie, rzuciłabym ci się na szyję i ścisnęła i całowała pokąd by mi siła stała. Ty, matka i dziecię, jesteście dla mnie światem; teraz dopiero poznaję jak bardzo was kocham, i pojąć nie mogę jak mogłam przeżyć te kilka miesięcy tak daleko od was i nie umrzeć z tęsknoty do was i do chaty.

„A zabierz z sobą duży tłomok, bom tu podostawała bardzo wiele rzeczy; a bryczki nie najmiej, pojedziemy koleją żelazną a od stacyi bardzo już blisko do domu. Ach! gdybym tam już była!...

„Przywieź mi tu także co z naszego ogródka, albo gwoździk z doniczki kwitnący na oknie lub trzewiczek naszego dziecka!

„A teraz bywaj mi zdrów, niech Bóg czuwa nad wami!

Tvoja

„Walpurga Andermatten.“

Kiedy Walpurga pisała list powyższy, hrabianka Irma siedząc przy swem kosztownem biurku, pisała także list następujący.

„Kochana Emiljo!

„Co za okropna noc! — widać żelazne mam siły kiedy ją przeżyć zdołałam.

„Pozwól mi, droga moja, znowu pisywać do siebie; tyś silna i święta, bądź mi niewzruszoną skałą u której mogłabym szukać oparcia, kiedy, jak w obecnej chwili dusza moja tak potrzebuje pomocy i pociechy.

„Okropna noc! Wychodziłam z pokoju królowej, która dzięki niebu żyć będzie, nie mogłam się modlić, ale stanawszy przy oknie, taką zaniosłam prośbę do przedwiecznej natury. O ty! która wszystko odradzasz, która budzisz ziemię z długiego zimowego letargu, pozwalam drzewom i kwiatom nowe co rok przywdziewać szaty — dozwól aby i serce ludzkie mogło się odrodzić, aby zapomniiała przeszłości, spraw aby złe jakieśmy jej wyrządzili rozwiało się i znikło jak gdyby go nigdy nie było! Stałam więc przy oknie, burza szalała zawzięcie; w tem nagle zdawało mi się że świat cały się zapada, wichur łamie odwieczny dąb stojący pod oknem, i ten upadając druzgocze w kawałki statuetkę Wenery. Obłądł mnie ogarnął, w głębi duszy powstało życzenie, myśl, dająca się streścić w tych słowach: Ach! stokroćbym wołała gdyby zamiast statui, mnie tak dąb ten zdruzgotał w tej chwili!...

„Sama już nie wiem com ci powiedzieć chciała, ale wiem że dziś, jutro, w nocy lub we dnie, nadzieje może chwila w której zobaczysz mnie nadspodziewanie... i padnę do nóg twoich, a ty podniesiesz mnie, osłonisz, zbawisz z szatański mocy. I o nic, o nic pytać mnie nie będziesz, dasz przytułek biednej zbłąkanej duszy nie badając z kąd przybywa.

„Na ustach posagu zdobiącego arsenał spoczywa pocałunek wieczności, i patrzą na niego gwiazdy, księżyc i słońce. Ach! gdybym i ja mogła wznieść się tak wysoko i stamtąd rzucić na bruk i unicestwić się zupełnie....

„Gdy usłyszysz głośny dźwięk klasztornej dzwonki, pomyśl że to odgłos mego pogrzebowego dzwonu; gdy ktoś zwolna do drzwi twych zapuka, pomyśl sobie; to biedna dusza która była szczęśliwa, i mogłaby nią być... Można wziąć jakąś istotność i zwrócić ją jej samą? Można wyciągnąć ją z otchłani wód... z otchłani wód!...

„Czemu? dla czego zwierciadlane przezrocza wód jeziora zawsze stoją mi w oczach? Widzę się już w jego falach... lecę do dna... ratunku!!! Emiljo, ocal mnie — ratuj, umieram!...“

Napisawszy ostatnie słowa Irma wydała straszny krzyk, zdało jej się że oszaleje, — panna służąca



wbiegła do salonu — hrabianka zemdlona padła na posadzkę.

Przyszłszy do przytomności pytała co się jej stało; doktor Gunther siedział przy jej łóżku.

— Zemdlasz pani pisząc list, rzekł jej, wnoszę więc że właśnie list ten musiał spowodować takie podniecenie nerwów. Preczytałam pierwsze sześć wierszy, — inaczej przekonać się nie mogłem o słuszności mego domniemania ale daje pani najuroczystsze słowo, że nie czytał ani słowa więcej. Schowałem zaraz list ten aby nie wpadł w obce ręce, teraz ci go oddaję i proszę uspokój się i odpocznij.

Irma wzięła list podany, przeczytała, potem głębokie wejrzenie utkwiała w doktorze.

— Wierzę panu, rzekła po chwili, ten kto czyta w gwiazdach i sercu ludzkim nie może kłamać — wierzę panu.

Kazała podać sobie zapaloną świecę i zaraz list spaliła.

— Przrzecz mi pan że nie odmówisz mej prośbie.

— Jakież? zapytał.

— Przrzecz mi, doktorze, że gdybym zaczęła mówić w gorączce zadasz mi truciznę.

— Szalone żądanie, odrzekł; nikt nie mógłby tego uczynić. Nastąpiło długie milczenie.

— Teraz staraj się pani koniecznie zapanować nad sobą i odegnąć te dzikie, szalone myśli, rzekł doktor. Czas jakiś myślałem że pozwolił mi kierować sobą, — omyliłem się; ty sama jesteś dziś jedynym i najlepszym dla siebie doktorem. Odwołaj się pani do swjej wielkiej mocy duszy i staraj się rozważyć spokojniejszą stronę życia.

Irma wsparła głowę na dłoń, i zawołała po chwili.

— Każę sobie zupełnie ogolić głowę!

— Znowu szalona ostateczność, odrzekł doktor. Że nigdy nie chcesz pani środkowej trzymać się drogi; staraj się uspokoić, przespować jeśli możesz, a wstaniesz zdrowa.

Powiedziawszy to Gunther chciał odejść, Irma zatrzymała go:

— Jak się ma żona pana? cała rodzina?

— Dobrze, dziękuję pani.

Irma miała chęć prosić doktora aby jej przysłał swoją żonę, ale nie śmiała. Gunther wyszedł. Kiedyś, dawniej: Gunther przedstawił Irlandczykowi swoją żonę, w tej chwili że jeśli jej zaufa, takt i zdrowy rozsądek pani Gunther, potrafią ocalić biedną złąkaną dziewczę; ale było to, w dniach szczęścia i spokoju. Irma wymówiła się i ani razu nie była w domu w którym tak serdecznie przyjął ją chciano. Doktor wiedział dobrze, że dziś żona jego nie dałaby się nakłonić do odwiedzenia Irmy, bo mimo całej swjej dobroci nie przebaczała nigdy pychy ani wyniosłości.

Tak więc od chwili gdy Irma po ostatnich odwiedzinach ojca, powróciła stale na dwór królewski, wszelkie stosunki z rodziną doktora zupełnie zostały zerwane. Niedosć na tem Irma miała teraz wielu nieprzychylnych, ponieważ wiadano że występowała w obronie klasztorów, i mniemano powszechnie że miała żywy udział w utworzeniu ministerium Schuabelsdorfa znanego ze swych dążności reakcyjnych.

### XIII.

List Walpurgi przybył do chatki nad jeziorem o szarej godzinie, zapalono świecę i obecna tam wówczas Stazyja, czytała go na głos zgromadzonej rodzinie. Matka płakała, dziecię zrywało się na kolanach babki, jak gdyby rozumiało że słowa które słyszy pochodzą od jego matki. Ani się spostrzeżono jak dziecina dwa razy wydarła list czytając, aż nareszcie Stazyja musiała usiąść nieco dalej. Nareszcie ocierając łzy ciskające się do oczu, matka rzekła:

— Dzięki ci, o Boże! żeś mi dał taką córkę. Nie o tobie mówię, rzekła uśmiechając się do Burgi, tylko o twojej matce; będziesz mogła być dumną jeśli będziesz tak dobra, tak rozumna jak ona.

Jan słuchał z otwartymi ustami, uśmiechając się z zadowoleniem gdy Stazyja czytała ustęp w którym Walpurga mówi że pragnęłaby rzucić mu się na szyję. Przeczytawszy list, Stazyja rzekła:

— Mój Boże! co to będzie za radość gdy ona po-

wróci, aż mi się serce ściska że nie będę temu obecna.

W przyszłą niedzielę miał być ślub Stazyi ze strażnikiem leśnym, mieszkającym nad samą granicą. Jan wziął list i chciał wychodzić.

— Zostaw mi list, Janie, rzekła mu pół-głosem matka, nie można czytać go na głos w oherzy, jest tam wiele rzeczy które tylko mężowi powiedzieć można.

— Masz słuszność, matko, odparł Jan, i oddał jej list.

Jak mu jednak było przykro, że nie może popisać się przed zebranymi w oherzy wieśniakami jak mądrą i dobrą ma żonę, i jak bardzo go ona kocha, jakie piękne pisze listy, aby się sami przekonali że żaden prawie nie wart żeby choć słówko powiedziała do niego. Jan dumnym był i chlubił się z żony.

— Dobrze mówicie, matko, rzekł stojąc we drzwiach. Dzięki niebu, najdłuższy czas już minął, i dziś zaledwie pojąć mogę jak mogliśmy wyżyć tak długo daleko od siebie, i jak się to stanie że z królewskiego pałacu, Walpurga wróci do naszej ubogiej chaty. Już teraz przecie nie długo czekać będziemy, a potem wszakże znajdą się inne domy w naszej wiosce.

Ostatnie słowa wypowiedział bardzo prędko. Chciał dać do zrozumienia matce, że zamyśla kupić inny dom, boć trzeba przecie żeby o tem wiedziała, a nie chciał znów słuchać jej rad i uwag, bo oherzysta mówi nie bez zasady, że matka za nadto go opanowała. Pragnął teraz co prędzej zobaczyć się ze swym tajnym radcą; tym radcą czyli doradcą był oherzysta. Zaledwie usiadł i kazał podać sobie kufel piwa, oherzysta zbliżył się do niego zapytując:

— Czy dawno miałeś wiadomość od żony?

— Dziś właśnie odebrałem list.

— Co pisze?

— Różne rzeczy, odpowiedział z dyplomatyczną miną; a po chwili dodał obojętnie: później chciałbym się ciebie poradzić.

Obecni włościanie spojrzeli na siebie z zadziwieniem; jakto, drwał Jan tykał oherzystę, i ten nic nie miał przeciw temu. No, to rzecz niesłychana.

— Jeśli znowu masz papierowe pieniądze, toby mi się przydały, rzekł oherzysta.

— Nie o to chodzi, ale mam z tobą o czemś pomówić.

Oherzysta poszedł do swego pokoju, wysłał żonę do gości, i zawołał; proszę cię Janie! i zaczęli odbywać radę tajną.

Jan powiedział oherzyście że żona jego wraca za siedm tygodni, że już pisała aby po nią przyjechał i że zapewne potrafi on dać sobie radę.

— Tak się spodziewam, odrzekł oherzysta; nie darmo wczoraj nadleśny nasz siedząc na miejscu które właśnie teraz zajmujesz, powiedział do mnie: „Ten Jan djabelnie mądry”

Jan uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Dziękuję za dobre słowo, ale miałem cię o coś prosić...

— Słucham.

— O to, jakże to powiedzieć .... ty daleko piękniej umiesz mówić odemnie .... a przyznam ci się, iż na samą myśl że mam jechać do stolicy, i tam mówić z królem, z królową i ze wszystkimi wielkimi panami, jakoś mi tchu brakuje w piersiach, i dla tego chciałbym abyś ty pojechał ze mną i mówił za mnie, boć nie trzeba tracić sposobności, która już może nigdy w życiu się nie trafi.

— Dobrze mówisz, rzekł oherzysta.

— No to dzięki Bogu, że się zgadzasz; — z resztą możesz być spokojny, ja opłacę wszystkie wydatki, podróż ani grosza kosztować cię nie będzie.

— Nie zrozumiałeś mnie; — nie mogę jechać z tobą, bo to rzecz niepodobna. Na dworze, widzisz, to nie tak jak między nami, tam nie można powiedzieć; to mój kum czy tam przyjaciel, więc może wszędzie ze mną chodzić i mówić za mnie. Kto uzyska posłuchanie, musi iść sam i mówić sam.... A chyba że chcesz spłatać dobrego figla i Walpurga zgodzi się na to, w takim razie powiem królowi że ja jestem jej mężem, i w wszystko będzie dobrze.

— O nie! zawołał Jan, tego nie zrobię .... to się nie godzi, i Walpurga nigdy na to nie zezwoliła.

— No, to nie ma rady, musisz bratku mówić sam za siebie. Jan posmutniał; — znał dobrze że nie wychowano go tak aby umiał rozmawiać z królem, z królową i z panami dworu, niepokoił się więc co to będzie jeśli im się podobało wysmiewać i szydzić z niego, gdyż nie zniósłby nigdy aby go wysmiewano w obec Walpurgi, boć przecie bąc co bąc on jest mężem a ona tylko żoną.

— Nie smuć się tak i nie kłopot, rzekł oherzysta, widząc jak tarł ręką czoło, jak gdyby pragnął zbudzić w głowie myśl jaką; — no, wiesz co, oto wyobraź sobie że ja jestem królową, coż więc mi powiesz?

— Nte, ty zacznij mówić.

— Niech i tak będzie.

Oherzysta upozował się, włożył rękę w kieszeń od kamizelki, wyprostował się i rzekł.

— Jesteś mężem Walpurgi?

— Tak, ona jest moją żoną.

— Czy służyłeś w wojsku?

— Z przeproszeniem, nie.

— Trzeba opuścić, z przeproszeniem“ a natomiast dodać n. panie! czyli po prostu odpowiedzieć: Nie, n. panie! Ale dajmy temu pokój, dość jeszcze mamy czasu; lepiej przystąpmy do interesu. Kup zaraz odemnie dom i grunta, a wtedy król zapyta cię jak się miewasz, odpowiesz mu: Miałbym się dobrze n. panie, żeby nie to iż kłopotuję się bardzo, ponieważ winien jestem jeszcze trzy tysiące florenów za dom który kupiłem,“ a zobaczysz że jak to tylko powiesz, król zaraz każe ci dać 3,000 florenów. Ale że nie mógłbyś tego powiedzieć, gdyby tak nie było, ponieważ wiem że jesteś uczciwy człowiek i nie umiesz kłamać, więc wiesz co ci powiem? Najpierw kup odemnie dom, a potem będziesz mógł powiedzieć żeś winien cztery albo pięć tysięcy florenów, to już wszystko jedno, a za to zostaną ci pieniądze w gotówce i będziesz mógł zakupić od razu znaczne zapasy wina.

— Tak, tak, możeby to i dobrze było, ale teraz zróbmy tylko udane kupno, ponieważ nie chciałbym kończyć interesu bez mojej żony; wiesz jaka ona rozumna, a potem wszakże to jej pieniądze .... i prawdę mówiąc nie wiem jeszcze czy będzie chciała być oherzystką. Więc wiesz co, zróbmy akt na niby, a jeśli król da pieniądze i Walpurga zgodzi się na to, to już się ułożymy.

Dotąd oherzysta oddawał zmyślane tylko pochwały rozumowi i przebiegłości Jana, teraz zaś gdy rzeczywiście na nie zasłużył, nie rzekł ani słowa, i obaj przeszli do sali gościnnej.

Po jakimś czasie Jan pożegnał się i wyszedł; wracając do domu spotkał starą Centę, powiedziała mu dobry wieczór, udał że jej nie widzi i nie słyszy, i przyspieszył kroku. Ach! jakże teraz błędnego doznawał uczucia, na samą myśl że nie został wiadomym mężem! Cóżby się teraz w duszy jego działo? coby począł?... nie pozostawałoby mu jak rzucić się w jezioro za nim jeszcze żona jego wróci....

Doszedłszy do chaty, rzekł sobie: Dzięki Bogu, mogę wejść tu z czystym sumieniem; nie mam sobie nic do wyrzucenia, będę mógł z podniesionem czołem powitać żonę w naszym skromnym domku. Dzięki ci dzięki, o Boże! i długo się modlił zanim udał się na spoczynek.

(d. c. n.)

### CO JA LUBIĘ?

Lubię ja mierzyć przestrzeń tego świata,  
W chwilach zadumy, tęskniem śledzić okiem —  
Patrzeć na życie co zda się ulatą,  
Walczyć szybkością z wartkimi wód potokiem.

Lubię w przyszłości utonąć marzeniu,  
I gdy w domysłach tajemnic się gubię,  
Wznosząc ku Stwórcy ducha w uniesieniu —  
Tęskniąc za Niebem jeszcze ziemię lubię.

Lubię uświęcić wspomnienie przeszłości  
Lubię pamiętać — i o pamięć proszę —  
Bo jedną łezkę braterskiej miłości  
Nad wszystkie inne uczucia przenoszę.



## O UBIORACH.

### Korespondencja z Paryża.

W modzie tegorocznej ta szczególnie uderza nowość, że mniejsza lub większa długość sukni odpowiada jej przeznaczeniu, i tak na przykład na ulicę przyjęte powszechnie krótkie kostiumy; te służą zarówno i na wizyty mniej ceremonialne. W domu lub na obiady w gronie rodzinnym, używana suknia okrągła, to jest sięgająca zaledwie ziemi, lub też powłóczysta w tyle, najwięcej na ćwierć łokcia.

Suknie z długim ogonem przyjęte wyłącznie nie tylko na wielkie zgromadzenia, tak dzienne jak i wieczorne. Moda ta lubo może pociąga za sobą potrzebę kupienia jednej sukni więcej, bardzo jest jednak praktyczną i opłaca się w końcu, gdyż suknia długa podniesiona w festony na ulicę, bardzo prędko się niszczy, a nierównie więcej kosztuje od krótkiego kostiumu.

Uważaliśmy bardzo ładny kostium przeznaczony dla młodej osoby; składał się ze spódniczki kaszmirowej niebieskiej koloru turkusowego, z szerokim wolantem zaprasowanym. Na to szła długa polka czyli paletot, zapinany ukośno na guziki, z tkaniny lekkiej zwaną „sultanne“ w jasno niewarowym kolorze; u dołu ozdobił go wolant ćwierć łokciowy; z obudwóch boków podpięty był na takie same rozety, z tyłu mocno przymarszczony, przepasany szarą niebieską. Kapelusik okrągły słomkowy, opasany skręconą gazą. Donna Marja, w odpowiednim niebieskim kolorze, z długo spadającymi na tył końcami, dopełniał tego świeżego ubrania.

Drugi kostium składał się z dwóch spódniczek: pierwsza była zaknotowa w paski lilla i białe, szerokie na palec, zupełnie gładka, bez wolanta. Na to szła druga spódniczka bareżowa lilla przerabiana białą, z wolantem ćwierć łokciowym u dołu. Spódniczka ta sięgająca do ziemi, podniesiona była w tyle i podpięta rozetą ze wstążki w odpowiednim kolorze.

Gładki stanik bareżowy spinał się na szmuklerskie guziki. Na to szła chusteczka „Marie Antoinette“ z bareżu lilla, odwrócona do tyłu, i przepięta poniżej stanu rozetą.

Trzeci kostium także dla panienki. Spódniczka z jasno popielatego bareżu z kozią wełną, u dołu dwie pliski różowe szerokości dwóch palców. Na to druga także sama spódniczka podpięta po bokach rozetami ze wstążki różowej. Wierzchnia spódniczka zakończona u dołu zębami, z takież wstążki. Staniczek gładki spięty na guziki, rękawy wąskie, z podwójną pliską u ręki. Na wierzchu chusteczka Marie Antoinette odwrócona do tyłu, spięta na różową rozetę, w koło przybrana różowymi ząbkami. Kapelusik popielaty słomkowy okrągły, przybrany bukietem małych różyczek, przepasany różową wstążką, ładnie odpowiadał całości.

Z pomiędzy sukien lekko powłóczystych zwróciła uwagę naszą przesłanica na muszlinkowa lilla z białem, w niewielki deseń. Spódniczka była podwójna, pierwsza naszyta pięcioma falbaneczkami jedna nad drugą. Wierzchnia spódniczka zakończona była wolantem na ćwierć łokcia, i podpięta po bokach kokardami ze wstążki w odpowiednim kolorze. Na ulicę suknia ta z tyłu także się podpiniała, w pokoju zaś można ją było rozpuścić, zostawiając tylko boki podpięte dość wysoko. Stanik miał baskinę zakończoną wolantem. Dopełniała ubrania szeroka szarfa ze wstążki, złożonej w trzy zakłady, i związana z tyłu na wielką kokardę z krótkimi końcami. Kapelusik z białego tiulu jedwabnego, z mantylką, przybrany był diademem z bzu lilla; gałązka bzu spinała mantylę pod brodą.

Co do kostiumów strojnijszych widzieliśmy bardzo ładne fularowe w dwóch kolorach. Jeden z nich miał pierwszą spódniczkę w kolorze fioletowym, wpadającym trochę wsołferino, na to szła druga spódniczka tejże samej długości jasno popielata, przybrana u dołu trzema plisami w zęby; plisy te objęte były rulonikiem fioletowym; wierzchnia spódniczka, cokolwiek dłuższa niż do ziemi, podnosiła się z tyłu, i podpiniała wielką rozetą fioletową. Za okrywkę służyła chusteczka „Marie Antoinette“ ze spadającymi z przodu końcami, objęta podobną plisą w zęby. Chusteczka spadająca poniżej stanu podpięta była w tyle na trzy fałdy, przytwierdzone także rozetą fioletową.

Wyjawszy w dniu bardzo skwarne, daje się widzieć na przechadzkach i na ulicy, wiele kostiumów czarnych mantynowych, w pięknym gatunku; mantyna najmodniejsza, powinna wpadać cokolwiek w kolor granatowy, co się szczególnie daje widzieć przy słońcu. Pod spód idzie zwykle spódniczka jedwabna kolorowa z dosyć szerokim fałdowanym wolantem. Wierzchnie ubranie czarne stanowi zarazem spódniczkę i okrywkę. Są to po większej części paletoty w kształcie bluzy do kolan, przypasane szarfą odmieniane w najrozmaitszy sposób. Jedne z nich obszyte frendzlą jedwabną, podpinane są w tyle i po bokach rozetami z pasmanterji; inne przedłużone z tyłu i z przodu podcięte mocno z boków, tworzą niby ornat przepasany w stanie szarfą ze spadającymi na tył końcami. Starsze cokolwiek osoby, nie chcąc odkrywać figury, dodają do tego pelerynki okrągłe, lub mantylki przedłużone z przodu.

Do niektórych takich okrywek czarnych, uważaliśmy spódniczki bareżowe z kozią wełną z szerokim przeszło na pół łokcia wolantem. Spódniczki te najczęściej niebieskie w turkusowym odcieniu.

Kolor turkusowy i zielony majowy, należą w tym roku do najmodniejszych, lilla i popielaty bardzo też używany, równie jak niewarowy i szamoa.

Kapelusze tegoroczne lubo małe, dzięki jednak mantyli kołunkowej lub tiulowej, której moda stała się powszechną, bardzo ładnie się przedstawiają, i wszystkim prawie są do twarzy. Główną ich ozdobę stanowi gałązka kwiatów nad czołem, przeciągnięta z lewego boku.

Parasolki pokryte czarną koronką, należą do najmodniejszych. Kołnierzyki noszą po większej części stojące, ze spadającymi z przodu kłapkami.

### Opis ryciny paryskiej.

Figura pierwsza. Suknia jedwabna w kolorze Izabelowym. Spódnica powłóczysta podniesiona z tyłu na wstążkę. Stanik pod szyję otwarty z przodu, ozdobiony kołnierzem i wyłogami. Rękawy płaskie otwarte u ręki, i przepinane pliskami; szeroka szarfa związana z prawego boku. Kołnierzyk batystowy także rękawki. Rękawiczki kozłowe.

Figura druga. Kostium *Fanchonette* do ziemi. Pierwsza spódniczka popielata jedwabna przybrana szeroką fałdowaną wodą. Z pod tej wody wychodzi fałdowana falbanka na trzy palce. Koszulka popielata, na to druga spódniczka jedwabna. Przód podcięty okrągło po bokach, ogarniowany frendzlą tegoż koloru, bez lawy. Na przodzie dwie kieszenie okrągłe u dołu, obszyte frendzlą. Tylne bryty zaokrąglone w miejscu gdzie dochodzą do przedniego bryty. Mała pelerynka czyli chusteczka z tejże materji skrzyżowana tak na piersiach jak i na plecach. Z przodu spadają dwie szarfy zakończone frendzlą, z tyłu także same szarfy. Pasek zapięty w tyle na rozetę.

### GOŁĘBIE.

Różnaito w barwie i w gatunkach jak żadne inne skrzydlate stworzenia, są powszechnie uważane za symbol miłości i przywiązania.

O ile to odpowiada ich naturze trudno zawyrokować, wiemy tylko że w pożyciu małżeńskim, grzywacze bywają wielkimi zazdrośnikami czasami tyranami, tetrykami, zmiędami, nawet brutalami zupełnie jak to czasami zdarza się pomiędzy ludźmi. Ktoby patrzył na nie, jak napuszone, wyprostowane gniewnie, gruchoczą, uderzając dziobem i skrzydłami nikt by nie przypuścił, żeby w nich choć kropelczka znajdowała się przymiotów jakie symbolizują. Mają one jednak i swoją dobrą stronę, miłości i stałości nikt im nie odmówi, umieją dziobkami serdecznie całować, wznosić się w powietrze z niezmierną szybkością, i potem krążyć, obsiadać dachy ludzkich pomieszczeń jakby nagle z nich cudowne kwiecie wyrosło. Są także użyteczne i pod gospodarskim względem, ze spiżarnią i kuchnią, zostającym w bliskich stosunkach. Smutne to przeznaczenie, ale:

Wszystko ginie co się rodzi.  
Słońce piękne i zachodzi...

dla czegożby i gołębie miały być wyjęte od tego prawa? Dawanie zaś z siebie pożytku człowiekowi to obowiązek przez naturę nakazany, więc i gołębie idą na rożen nie gniewając się zupełnie za to pozorne tyrantstwo, czego dowodem nie rozerwana niczem miłość ich dla ludzi. Wszakże niemal w każdej stolicy większej, znajdują się stada gołębi nie posiadających właścicieli: ma je Paryż, Wenecja, ma i Warszawa w gmachu teatralnym, dla czegoż nie odleć na bory, na lasy używać zupełnej swobody i bezpieczeństwa?

Gołębniak w podwórzu wiejskim jest niejako dopełnieniem obrazu sielskiej siedziby, jest kolonią spokojnych mieszkańców pod opieką skrzętniej i rządnej gospośi. Gospodarze jednak na gołębie powszechnie krzywo spoglądają, uważając je za wielkich szkodników dla pól i zasiewów. Są jednak i tacy co stają silnie w obronie tej skrzydlatej rzeszy, dowodząc że gołębie nie samem żywią się ziarnem zbożowym, ale i różnemi nasionami chwastów, a nawet robakami, owadami, tyle szkody i uprzykrzenia na wsi przynoszącemi. Kto ma słusność trudno ocenić, wprawdzie za ziarnem zbożowym szczególniej za grochem bardzo przepadają, obsiane pola obsiadają, cisną się do stodoł na klepiska, czasem zajrzą na wóz ze zbożem lub w zasieki czyli w zapola stodołne, ale w polach zasianych zjadają tylko ziarna na wierzchu znajdujące się, a w budynkach przeznaczone już na zniszczenie i strącanie. I pierwsze i drugie bez tego zmarniałyby bezpożytecznie, dla czegoż więc żałować im tych okruszynek ginących i tak bez pożytku dla ludzi? Naddo nie ma żadnej pewności, czy gołębie wylatują w pole jedynie dla zjadania samych ziarn zbożowych. — Według licznych spostrzeżeń badaczy przyrody, żywią się one przez znaczną część roku nasionami chwastów, zjadają korzonki niektórych roślin szkodliwych dla krzewiącego się zboża, czasami nawet polykają drobne ślimaczki i inne ziemne robactwo. Często też je widzieć można zerujące na ziemniaczyskach, na których z pewnością ziarna zbożowego nie znajdują, widocznie więc o inne im w podobnych wyprawach chodzi pożywienie.

Gołębie jedzą także sól i ziemię saletrą nasyoną, a nawet wapno szczególnie w czasie niesienia jaj i karmienia młodych, za wyszukiwaniem tych materiałów wylatują nawet w dalekie strony z wielkiem dla siebie niebezpieczeństwem, od czego chcąc je zabezpieczyć dobrze jest czasami posypywać sól w miejscach stale obranych. Gołębie więc nie są tak wielkimi szkodnikami za jakich niesłusznie przez wielu uznani zostali, w ciągu całej letniej pory aż do późnej jesieni żywią się sami, w zimie wymagają małej z ziarna ofiary, a za to dostarczają z młodych gołębi wyborowego pokarmu, szczególnie gdy są umyślnie na to tuczone.

W tym celu młode w trzy tygodnie najwyżej po wylęgnięciu, gdy pod skrzydłami zaczynają piórek dostawać, przenosi się do gniazda oddzielnie przyrządzonego i przykrywa koszykiem, który nie tamując przystępu powietrza, usuwa światło złe działające na wszystkie zwierzęta przeznaczone do tuczenia. Następnie codziennie przez dni 10 najwięcej 15, rano bardzo wcześnie i wieczorem, wyjmują się je z gniazda, zrzęcznie dziób otwiera i stosownie do wielkości, każdemu daje się do połknięcia po 50 do 80 a nawet stu ziarn kukurydzy, przez 24 godzin moczonej w wodzie; karmienie takie nadaje mięsu smak wyborny i niezmiernie delikatny.

### Korespondencja

Pani Julji Dobro: Biżuterje z dżetu bardzo są jeszcze modne. Garnitur o jaki się zapytywano kosztuje rs. 4. Błuzkę muslinową dostać można za rs 3. Przybrane koroneczką i haftem dochodzą do rs 8.

**Sprostowanie.** W numerze przeszłym na str. 5 przy końcu szpalty 3 — wypuszczono parę wierszy po słowach *sama pozostała za królem*: po których powinno się mieścić co następuje:

*Szeptęła więc do siebie: cięży mi już ta postać urojonego widziadła!... ach!... gdyby to można ze świata marzeń wstąpić w krainę rzeczywistości.*